Na posterunku Wyd. 2.

NA POSTERUNKU

zdarzenie prawdziwe

WYDANIE DRUGIE

NA POSTERUNKU

Na posterunku

ZDARZENIE PRAWDZIWE

Wydanie drugie.

Warszawa TZWW 1943 Rok.

Coraz bardziej wzmaga się na naszych terenach terror nieprzyjaciela. Coraz częściej ludzie doprowadzeni do rozpaczy chwytają za broń. Jedni mają nadzieję zwycięstwa, inni idą na męczeństwo i śmierć, aby dać świadectwo prawdzie.

W dn. 20 marca 1943 r. we wsi Młodochów pow. płockiego, w czasie przymusowej akcji werbunkowej do Prus, żandarmi napotkali na zbrojny opór jednego z gospodarzy. W kilkugodzinnej walce Niemcy ponieśli straty w zabitych i rannych, gospodarz wraz z żoną i synami znaleźli bohaterską śmierć w płomieniach swej zagrody.

Wstawał ranek. Władek wyszedł z izby i stanąwszy za chatą spojrzał na rozległe, szare pola. Odetchnął zapachem wiosny, zapachem budzącej się ziemi, na której kładły się właśnie blaski złota i purpury.

Będzie ładnie — myśli Władek. Orać już czas, choć to marzec dopiero. — Przeszedł przez podwórze do stodoły. W sąsieku kilka wiązek słomy odrzucił i tajemną jakąś klapę w klepisku odkrył. Wsunął się w otwór i zniknął, klapę za sobą zamknąwszy. Szedł schylony wąskim podziemnym kurytarzem świecąc sobie latarką. Kurytarz kończył się drewnianymi drzwiami. Pchnął je. Swiatełko latarki zlało się z mdłym światłem lampki. Widać czworobok deskami wybity. Z desek podłoga, ściany, sufit. W suficie rurka, niewidoczna z zewnątrz dla oka, a dająca dopływ powietrza. W rogu na posłaniu ze słomy leży mężczyzna w starszym wieku. Władek poruszył go za ramię.

— Tatuś śpi?

Stary pokręcił głową przecząco.

— Nie, synku, tylko sny jakieś jadowite miałem.

— Ech, co tam sny.

— Tak i ja se myślę, ale z drugiej strony — kto wi, synku, kto wi... — siadł na posłaniu i zamyślił się chwilę.

— Swabisko mi się śniło, wielki taki, za gardło mnie ułapił i zdusić mie chciał. Wodzilim my się wodzilim, aż obaj z góry jakiejciś się stoczylim w przepaść.

— I co?

— I nie wiem co. Czarno jeno wszędzie było i po wszystkim, — obudziłem się.

— Co tam sen — powtórzył Władek. — Siedzi tatuś w tej norze to i nic dziwnego, że cudactwa takie po głowie łażą. Orać czas. Dziś z Frankiem w pole wyruszamy. Ziemia wyschła, pogoda.

— Daj Boże, zeby się obrodziło.

— Sniadanie Mama przyniesie, a myśleć o snach nie ma co. Ich już niedługo czarci porwą, a my przeżyjemy... urwał, jakby myśl jakaś nagła przedarła mu się do świadomości.., — a jak zginiemy... to po ich trupach po śmierć będziemy szli.

Wyszedł z lochu. Klapę starannie zamaskował i w piersi świeżego powietrza zaczerpnął. — Biedny stary, pomyślał. Zal mu było ojca. Rok już ukrywa się w tym lochu przed okiem

niemieckich żandarmów. Okrągły rok dusi się w tym wilgotnym, ciężkim powietrzu. Za co? Za zabicie własnego świniaka dla własnego użytku. Czasem tylko do izby się przekrada, powietrza zaczerpnie i znowu wraca do swojej nory. Zawsze to lepiej jak w obozie, czy więzieniu. Kto wie zresztą czy by go na śmierć nie osądzili... Pięści mu się zwarły i zęby zacięły. Rozgorzały, żądny odwetu, wzrok rzucił na drogę, która do wachy wiodła. Na drodze tej właśnie ktoś szedł. Gospodarz jakiś, w garści coś mu się bieli. Władek na chwilę wzrok na nim zatrzymał i w bok odwrócił z odrazą.

— Lizus niemiecki — mruknął.

Gospodarz zbliżał się. Był to sołtys Młodochowa, zacięty wróg Borowskich.

— Czego on tu chce, — myśli Władek, widząc, że ten do ich zagrody skręca. — Wywęszył pewnie, żeby miał co żandarmom zanieść. — Renegat psiakrew! Przyśpieszył kroku, by wyjść mu na przeciw. Spotkali się.

— Jo tu do wos z papirem od władzy, że to do Prus jechać mota — rzekł.

— Po co do Prus?

Przybyły wzruszył ramionami. — Pytota się, jakbyśta nie wiedzieli, — na roboty przecie.

— Po co mnie na roboty w obce kraje jechać, kiedy ja mam tu, na swojej ziemi dosyć roboty.

— Wy tu nic do gadania nie mota, władza kazała, to podpisać trza.

— Nie wiadomo czy trza. Każdy na swojej ziemi panem jest i ja też. Nam rąk do obrobienia własnej ziemi brak, dwóch nas przecie tylko jest na tej połaci gruntu i stara matka, co ledwie domu przypilnuje.

Z izby wyszedł Franek. W koszuli był, ręce w kieszenie schował, nogę naprzód wysunął i z góry na niepozorną postać sołtysa spojrzał.

— Wy do chałupy idźcie razem ze swoim papierem. Władek tu zostanie. Jemu nie potrzeba na pruskich ziemiach się tułać, kiedy swoją z dziada pradziada do orania ma. Słyszycie?

Sołtys na Franka z podełba spojrzał. — Wy się tak nie ciskojta, nie wasza to ziemia, jeno niemiecka i jak pan komendant będzie chcioł tak z wami zrobi, wita? — Po twarzy Franka ognie przeleciały. Leżącą pod ręką siekierę w garść chwycił i do sołtysa się rzucił.

— Ach, ty wyrodku, krzyknął.

Sołtys zwiał, jakby go wiatr zdmuchnął. Gnał biegiem, tylko mu się poły sukmanka rozwiewały. Dopiero daleko na drodze zatrzymał się i pięść w stronę zagrody wyciągnął.

— Zobaczyto, zobaczyto, popamiętota — zacharczał wściekły i ruszył prosto na wachę żandarmerii.

Tymczasem z izby wyszła stara Borowska.

— Jezusie święty, chłopaki, przecie sołtys wam żandarmów sprowadzi.

— Niech spróbuje — rzekli obydwaj jednocześnie i spojrzeli sobie w oczy.

— Przecież my nie barany, dość już tych uległiwości. Zęby sobie połamią jak nas zjeść będą chcieli.

Rozeszli się. Matka do izby poszła. Jakiś robak niepokoju pod serce jej się wkradł i nurtować zaczął. — A jak żandarm przyjdzie i Władkowi w gębę da?... Jezusie święty, zna ona swoich synów. Złote chłopy, ale dusze rogate w nich. Niemca gorzej jak psa parszywego nienawidzą, a zniewagi nie zmilczą. Kiedy kartofle płukała w szafliku dla świń, usta jej bezwiednie do modlitwy się złożyły:... Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą... — szeptały bezzębne usta. — Królowo Korony Polskiej, zmiłuj się nad nami... — przy ostatnich słowach cosik ją za gardło chwyciło. Do obrazu Częstochowskiej Panienki podeszła i ręce do niej błagalnie wyciągnęła. — Matuchno Swięta, wybaw nas od tych germanów, wybaw — płynęły błagalne, proste słowa.

* * *

Franek poszedł do stodoły. Tą samą drogą co Władek wsunął się do ojca.

— Sołtys był u nas.

— Czego chciał?

— Zeby Władek papier jakiś podpisał, że do Prus ma jechać.

— A Władek?

— A czy on głupi? Podpisze, a wie na co? Może do wojska podstępem chcą brać, albo tych co podpiszą zaaresztują jak w Płońsku. Mówiąc to odsunął jedną deskę w ścianie i w słomie, co była za deską, zaczął szukać. Ojciec wodził za nim oczami.

— I co un więcej gadał?

— Uciekł, bom go siekierą nastraszył.

— Ty zawsze wybryki mosz, zgromił go ojciec. Franek spojrzał gniewnie.

— Tatuś wybryków by nie miał, jakby Tatusiowi taka gadzina mówiła, że to nie twoja ziemia, a tylko niemiecka, i ty niemiecki niewolnik, co komendant będzie chciał to zrobi. Nie popędził by go Tatuś wtedy? — co? — Stary Borowski z obrzydzeniem w kąt splunął. — Czeguj ty tam szpyrosz? — zagadnął po chwili, wzroku z syna nie spuszczając.

— Sołtys prosto do wachy poszedł — odparł, wsuwając jakiś przedmiot do kieszeni.

— Aha... zrozumiał stary. Franek chwilę jeszcze grzebał w słomie, potem w drugą kieszeń coś wsunął, deskę na miejsce wstawił i do odejścia się zabrał.

— Jeno ty synku głowę na karku miej — upomniał stary. — Rozumie się... Wyszedł. Ojciec spod tej samej deski wyjął coś długiego, odwinął ze słomy i sprawdził. Potem skrzynkę jakąś wyciągnął i kurytarzem ruszył. Przed samym wyjściem z lochu stanął, skrzynkę przy nodze postawił, długi przedmiot do boku przycisnął i przymknął oczy. Czarne widma ciemności po lochu tłukące się, gdyby oczy miały, ujrzałyby uśmiech na twarzy wieśniaka. Uśmiechał się, bo mu się właśnie zdało, że jest jeszcze młodym chłopakiem i tam w lasku na warcie stoi i oczy wypatruje, czy jeszcze gdzieś znagła bolszewicka gęba nie wyjrzy. A potem: „Panie poruczniku, strzylec Borowski melduje, że dwóch bolsiewików za kark ucapił i do pana porucznika na rodzonych sielkach przyprowadził, że to śnurów nigdzie nie było pod ręką..." — Uśmiecha się stary na wspomnienie tamtych czasów i śni mu się, że to tam na warcie...

Z podwórza szmer jakiś dochodzi. Otworzył szeroko oczy, w ciemność się zapatrzył, jakby gęste mroki, zaporą od świata go odgradzające, przebić chciał. Wytężony słuch uchwycił niemieckie słowa. Przylgnął do ściany, ucho do sklepienia przyłożył i słuchał.

* * *

Niedługo Borowscy czekali na powrót sołtysa. Ledwie Franek do ojca wyszedł i koniom obroku nasypał, już na drodze ukazała się grupa ludzi. Dwóch żandarmów, sołtys i podsołtys. Pierwsza zobaczyła ich Borowska. Zadrgało serce kobiety, nowym wichrem niepokoju szarpnięte. Wybiegła na podwórze, gdzie Władek spokojnie pług szykował.

— Władek, sołtys z żandarmami idzie.

Podniósł na nią oczy i krótko rzekł: — niech idzie.

— Właduś — ino ty pamiętoj, wściekłych psów lepij nie drażnić, pamiętoj Właduś — prosiła. Nie odpowiedział. Łokciem się okok wozu wsparł, drugą rękę w kieszeń włożył i patrzył na zbliżających się. Pierwszy żandarm do Władka podszedł.

— Borowski? — spytał niemieckim akcentem.

— Tak.

— Wladyslaw?

— Tak.

— No, ja! — wyjął z kieszeni kajdanki i po rękę Władka sięgnął. Szarpnął się młody Borowski.

— Ja nie zbrodniarz, żeby mnie kajdanki kuć. Drugi żandarm w twarz go silnie uderzył.

— Jezus, Maria — krzyknęła matka.

Nagłe uderzenie oszołomiło Władka, i nim zdążył przyjść do siebie już go skuli kajdanami.

— Franek... — Nie dokończył jeszcze, gdy rozległ się huk wystrzału i kula gwizdnąwszy koło głowy, trafiła w stojącego

przy nim żandarma. Zwalił sie na ziemię, jakby piorunem rażony. Drugi żandarm, a za nim sołtys i podsołtys, rzucili się do ucieczki w panicznym strachu. Jeszcze jeden wystrzał i gwizd, i podsołtys za nogę się chwycił. Przystanął na chwilę i zaraz za sołtysem pokusztykał. Ze stajni wypadł Franek z rewolwerem w dłoni. — Psiakrew, chciałem w drugiego psa, a ten mi się nawinął. Wsunął broń do kieszeni i rozkuł brata. Władek do leżącego już nieruchomo żandarma się rzucił, zabierając karabin i ładownicę.

— Franek, oni za chwilę tu będą, nie damy się!

— Nie damy — rzucił twardo młodszy. My na górce a Tatuś w stodole zajmie stanowisko.

— Dobrze, śpieszmy się.

Władek w przejściu na matkę spojrzał. Była blada, przerażona, wzrok z twarzy synów na zabitego żandarma przeniosła.

— Niech Mama się nie lęka, będzie dobrze — uśmiechnął się do niej. To dodało jej otuchy.

— Ja też wam synki pomogę.

Władek do stodoły wbiegł. Nim zdążył słomę z klepiska zgarnąć, już się sama poruszyła, klapa podniosła i ukazała się głowa ojca. Bez słowa podał synowi skrzynkę, potem sam wylazł.

— Kto zabity?

— Jeden żandarm, a podsołtys ranny.

Ojciec wsparł się na dubeltówce. — Jakeśta zaczęli to i kończyć trza. Popatrzył na broń i podał ją Władkowi. — Pewnie ty to weźmiesz, a ja to chyba z kija będę strzyloł.

— Niech Tatuś zatrzvma, a ja po zabitym odziedziczyłem.

— Stary się ucieszył.

Władek matce skrzynkę podał. — To Frankowi, Mamo. Tatuś tu zaczeka. — Sam do lochu wsunął się i raz po raz podawał ojcu skrzynki, który skolei przekazywał je matce a ta znowu Frankowi nosiła. Skrzynek było kilka. Po zaopatrzeniu się w amunicję, Władek z ojcem uszykowali pozycję pod dachem stodoły.

— Słomą trza wyrychtować, żeby ścierwa kuli mi nie przysłali — radził stary Borowski. Raźno się krzątał, jakby mu lat ubyło.

— W porządku — Tatuś ma tu cel dobry. Tylko trafiać trzeba, bo naboi szkoda.

— To się wi, synku.

Władek skrzynkę z nabojami otworzył, zostawił ją ojcu a sam pobiegł do chałupy, gdzie Franek miejsce przygotowywał, na górce przez okno spojrzał na drogę. — Idą — krzyknął. — Matka niech idzie do ojca. Trzeba mu naboje do ręki podawać. Pobiegła.

Był czas najwyższy do obrony. Oto cały oddział żandarmerii zbliżał się właśnie do muru otaczającego zagrodę, kiedy mu posłano trzy kule z trzech stron. Cofnęli się w zamieszaniu i plac-

kiem na ziemię popadali. Czołgając się szukali osłony poza drzwiami. Część ich do wsi się wycofała. Władek i Franek pozycje ulepszali. Żołnierski duch w nich rozgorzał. Zapomnieli w tej chwili, że nie podobna oprzeć się przemocy. — Co tam nie podobna! — Dla nich wszystko możliwe. Polakami są. Z dziada pradziada rycerską krew dziedziczą. Niewolnikami być nie przywykli i nigdy nie przywykną.

Salwa wystrzałów gruchnęła od strony Niemców, potem druga trzecia. Ze świstem pociski przecinały powietrze, wpadały na podwórze, grzęzły w słomianej strzesze stodoły, przebijały drewniane ściany zabudowań. Obrońcy odpowiadali gęsto. Zdawaćby się mogło, że nie trzech ludzi jest tu załogą, ale oddział cały, dobrze uzbrojony.

Oczy starego Borowskiego błyszczały. Żona mu coś mówiła, nie słyszał. Chwytał podawane mu naboje ładował i strzelał bez przerwy.

— Tera ja se pohulam z wami psubraty. Pierś mu wzbierała radością odwetu.

— To masz za tego kunia, coś mi go w zeszłym roku zabrał, a to za żyto cośta mi ścierwa ukradli, a to za to tam na drodze — przez myśl mu przebiegło wspomnienie, gdy go żandarm po twarzy bił. Scisnął w ręku dubeltówkę, pobladłe policzki zabarwiły się rumieńcom. Dalej, tłuc te przeklęte łby. A bodaj was... — Szał go ogarniał. Armatka by się tu przydała — mamrotał. Toćby plunęła na nich, jak tam, w lasku. Zmietłoby się te śmieci, te robaki plugawe, co w naszą ojcowiznę się wgryzły i żerują. Ale tera już nie będą żerowały. Dość, — koniec. Przecie nie my sami, przecie za nami jensi powstaną, wszyscy, cała wieś, jedna druga, dziesiąta... Nasze strzały, to sygnał do boju, a przez bój do wolności. Rzucą się wszyscy. Jeno czy broń mają... Co tam, — broń zdobędą. Na początek kosy wystarczą. Już przecie czas. Panno Swięta, toć się człowiekowi nie śniło, że tak prędko skórę tym psubratom garbować będzie... — i to tu, we własnej zagrodzie,.. Bić ich, bić! Jak kul zabraknie, to wyskoczy i kolbą tłukł będzie. Tam, za płotem, z sąsiadami się spotka. Niech żyje Polska! Hajda na wroga! Na wroga! — już mu się zdawało, że słyszy tam za kamiénnym ogrodzeniem, głosy swoich. Pójdą przecie, jakże by nie poszli?

Nagle ktoś go za rękę chwycił. — Tatuś! — Otrząsnął się gniewnie. — Do żołnierza nie gada się jak celuje — rzucił przez ramię.

— Tatuś, trzeba przestać. Oni od drugiej strony okopują się. Trzeba na drugą stronę. Niech tatuś powoli strzela z rozmysłem, naboi nie marnuje.

Opuścił broń na chwilę. — Że co gadasz?

— Naboi nie marnować, spokojnie strzelać w sam łeb celować. Jak tatuś w nogę trafi, to się wyliże i pójdzie naszych wieszać.

— Nie, synku, nie marnuję, każdy dostał, — jak nie w łeb, to po żebrach. Wieszać nie będą, bo już koniec z nimi. — O widzisz? Nasi jadą! Nasi! — Krzyknął i ręką na drogę do miasta wiodącą wskazał.

Promienie słońca drogę zalewały, tuman kurzu na niej się podnosił, było słychać warkot samochodów. Franek się przyjrzał.

— Posiłki... ale nie nam... — Odtrącił ręką ojca, przykląkł na jego miejscu i trzy strzały padły między drzewa.

— A widzisz — i ciebie wzięło — rzekł stary, spoglądając za synem, biegnącym już przez podwórze do domu.

— Wojsko ściągają.

— Niech ściągają — my się nie ulękniemy. — Władek załadował karabin i oparł go o parapet okna.

— Oni tylko kajdany zakładać potrafią. Widziałeś jak się zmieszali po pierwszej salwie?

— Okopują się, chcą nas otoczyć.

— Żywych nie wezmą. — Władek złożył się, padł strzał i czołgający się pod murem żandarm zwinął się jak zrzucona z drzewa liszka.

— Franuś, wojsko jakieś jedzie — mówiła matka, gdy Franek biegł do obory. Przystanął na chwilę. Blada była. — Tak blada jak kartka papieru.

— To nic — nie damy się — rzucił krótko, pewnie i pobiegł.

Poszła za nim.

— Franuś, czy to my dziś już tak ostatni dzień? — wyszeptała. Popatrzył na nią. Czy ostatni? — Nie o tym nie myślał. Wzrokiem objął bezmiar pól i niebo i ziemię i drzewa, co życiem nowym nabrzmiewać zaczęły...

— Nie, nie ostatni, to początek nowego życia. Mamo, to koniec męki.

Utkwiła w nim wzrok pełen miłości. Wyblakłe oczy łzą się zaszkliły. Perlista ich zasłona przesłoniła twarz syna, a na jej miejsce dziecięca główka się ukazała. Maleństwo piersi jej ssące, roześmiane... Tuliła je, pieściła, całowała, a serce matczyne doczekać się nie mogło, kiedyż to ta kruszyna urośnie, kiedy to duże będzie... Potem Władek... też taki maleńki... W płachcie go na pole nosiła, Azor go pilnował, bo Franek ojca sukmany się czepiał, prosząc uparcie, by go na siwka wsadził. Oj, byłyż to czasy, były... A dziś... Dorośli... Panienko Święta, dorośli... Załkało coś w matczynej piersi... Dziś. Nie głupia przecie była, rozumiała, że to tylko kropla, że zgniotą ich... do izby uciekła, przed obrazem Matki Boskiej padła, niema, bez słowa, twarzą do podłogi. — Syn Twój za świat cały... moi synowie, mąż — za Polskę. Nie rozumie dokładnie proste serce kobiety siły tego słowa, ale czuje jego moc, jego potęgę. Polska — to przecie ta ziemia nasza, co na niej rok rocznie pot swój wylewała przy pracy. Polska — to przecie to słonko złociste, co nad nami

świeci, to kościół drewniany, co w nim ołtarz cudny jest... Polska — to wszystko co drogie, co bliskie, co nasze... I za to nasze oni, synowie jej i mąż giną... i ona z nimi... Jakże mogłoby być inaczej? Aż się zdziwiła, że o tym wcześniej nie pomyślała. Przecie jeśli dziecko ktoś krzywdzi, to matka broni, jeśli matkę ktoś krzywdzi — to dziecko broni. To przecie jedno i drugie takie bliskie... W głowie jej się pomieszało. Ogromu tego, co duchem pojęła, rozum jeszcze pojąć nie zdołał. To pewne, że śmierci swych synów płakać nie będzie. Polakami ich przecie urodziła i... Polakami Bogu ich odda...

Niemcy podzielili się na grupy. Jedni ostrzeliwali zagrodę, inni okopywali się śpiesznie. Z Płocka przyjechał oddział SS, z Płońska oddział żandarmerii, z okolicznych wsi ściągało po kilku żandarmów. Ludzie z wioski po chatach się kryli przez okna i szpary wyglądając. Osada Borowskich podziw w nich wzbudziła i cześć nieomal świętą.

— Z takimi chłopakami niemca prać!

— Cicho, oni i szpiegów wszędzie maią.

— Niech mają, wielka rzecz. My zamiast po kątach się kryć, to hurmem na nich powinnim uderzyć. Razem toby się i skórę szwabom przetrzebiło i tamtych uratowało, a tak to co — zginą chłopaki... psiakrew!

— Głupi nie bądź, nic nie zrobisz. My jednego zatłuczemy, a oni całą wieś spalą, wymordują, ziemię zaorzą tak jak w lubelskim... czytałeś przecie...

— I Borowscy czytali, a jednak po kątach się nie kryją, jak my. Kompany takie! Teraz się kryć, niech tam Borowscy sami niemca tłuką, my nie, bo nas zabić mogą. Głupie myślenie, psiakrew!

Nagle na drodze nowy turkot. Spojrzeli. Armatkę prowadzą.

— Widzisz, ty lecić chcesz, armatkę by przeciw tobie wykręcili i zmietli ciebie i twoich. To szaleństwo. Nasze siły przecie na jutro potrzebne. Czytałeś. Oszczędzać krwi na ostatni dzień, dzień sądu nad nimi... No, czytałeś gadaj — za ramię go potrząsnął. Chciał słyszeć słowa kolegi, by zagłuszyć w sobie to, co gryzło, że tamci, koledzy najlepsi, tam, a on tu... zdrów, silny i do boju gotowy... — Czytałeś przecie, kazali, my tylko rozkaz wykonujemy.

Antek milczał, żując mękę bezsiły. Patrzyli jak niemcy armatkę wyrychtowawszy, ogniem z niej na zagrodę zionęli. Patrzyli na zataczające łuki granaty i płomień gniewu twarze im palił. Nagle ruch się zrobił. Komendant ręką coś mymachiwał, na sąsiednią zagrodę wskazując. Wydawał rozkaz gospodarzowi, którego budynki częściowo zasłaniały zagrodę Borowskich, wynieść się w ciągu dziesięciu minut. Chwytano z łóżek pierzyny, wypędzano bydło, konie, trochę ubrań przez okno sąsiadom rzucono i koniec na tym. Już żołnierze łuczywo pod strzechę

kładli, już słup ognia w górę wystrzelił, jakby chciał stóp Boga dosięgnąć i oczy Jego zwrócić na dolę Polaków.

Zjechała się chmara niemców. Ludzie szeptać zaczęli, że po czołg do Płocka dzwoniono. Sypały się strzały na zagrodę Borowskich, syczały granaty, miotała się wściekle armatka. Dopalał się ogień z zabudowań sąsiada.

Minęło południe. Coraz częściej wycofywali się okrwawieni napastnicy w stronę grupy sanitarnej. Z zagrody nie ustawały strzały. Słońce, co sobie najwygodniejszy punkt obserwacyjny na niebie obrało, widziało, jak pod osłoną kamiennego płotu przemyka się jasna koszula Franka, lub ciemna marynarka Władka. Strzelali z obory, ze stodoły, razili pociskami zbyt śmiałych, co się bliżej muru, z karabinami maszynowymi, podczołgać chcieli.

Dziwiło się słońce, skąd siły tyle i zwinności w tych ludziach.

— Twierdzą nam będzie każdy próg — przyszły na myśl Władkowi słowa Roty.

— Twierdzą nam dziś jest rodzinny próg — poprawił i skoczył do okna, by kule posłać tamtym.

W izbie matka koszulę na pasy darła. Nie płakała. Suche jej oczy światłem wewnętrznym gorzały. Pasy płótną na rękę zarzuciła i wyszła. Nie kryła się, szła prosto, nie zważając na kule, co do niej biegły, chcąc ją zastraszyć. Nie przestraszyły. Ulękły się jej same. Pokonane jej odwagą, pod stopy jej padały. Szła do stodoły opatrzeć rannego męża.

Rzucił na nią przelotne spojrzenie i krew z czoła rękawem otarł, bo oczy mu zalewała.

— Drasnęli, ścierwo — rzekł — niesiesz bandaże, to dobrze, bo strzyloć nie mogę. Rękawem ponownie wytarł czoło. Opuścił na chwilę dubeltówkę. Ranę mu przewiązała. — Krzynę jeno brakowało, już by po tobie było — rzekła cicho.

— Płakać, przecie byś nie płakała, żołnierza żałować nie trza.

— A nie trza — powtórzyła.

— Ty zawsze dziarska kobita byłaś — rzekł z dumą. Dubeltówkę szybko w obie ręce chwycił. Nie zjedzą nas, ho, ho, twarde my sztuki... Żeby to tak armatka, albo chociaż karabin maszynowy, a tak co? — śrut na zające i tyle: Podaj nabój, trza nadrobić czas zmarnowany. Walka go upajała. Ani chwili nie wątpił w zwycięstwo. Niezachwiana wiara dwoiła i troiła wyczerpujące się siły. Jako stary żołnierz wiedział, że kto chce zwyciężyć, musi walczyć ze wszystkich sił, z całym zaparciem się siebie, to też walczył nie marnując jednej minuty. Walczył i wierzył...

Wieczór się zbliżał. Różowe refleksy zorzy padały na ziemię, malując wszystko swą barwą.

Niemcy wściekali się, klnąc i złorzecząc w najohydniejszy sposób. Zagroda stała. Wśród gradu kul, z podziurawionymi ścianami, ale stała. Nie ustawały z niej strzały, ale wzmagały się. Szał walki ogarnął tych ludzi. Już się nie kryli. Stawali w oknach na dachu, wychylali się z za muru. Urągali śmierci i tym w okopach. I ojciec pozycję swą rzucił. Biegał teraz to tu, tam, oddychając szybko. Nic to, że założony na prędce opatrunek rozluźnił się i na szyję opadł, że przyschła rana znów krwawić zaczęła, nic to, że Władkowi kula rękę na wylot przebiła, a krew, rękawem ściekając, ziemię skrapiała. To wszystko nieważne. Dla nich ważne jest to, że przedostatnią skrzynkę z nabojami już otworzyli i że karabin Władka zaczął się zacinać.

Wreszcie Niemcy wpadli na pomysł. Dobry pomysł, godny ich szubrawej natury, godny Głogowa i krzyżackich wyczynów. Podpalić — ale nie oni, chłopi niech podpalą.

— Wypędzić z chałup wszystkich chłopów — padł rozkaz. Wpadli do chat, roztrącając kolbami wystraszone kobiety i dzieci, wypędzając na dwór mężczyzn. Pędzili ich przed sobą do komendanta. Ten, kazał im w szeregu stanąć. Zachlipały baby za swoimi, z dala idące, zaniosły się płaczem dzieciaki na ich rękach.

— Podpalić! — rzucono rozkaz pierwszemu, wciskając mu w garść płonące łuczywo i zagrodę Borowskich wskazując. Był wysoki, barczysty, o ponurej twarzy. Wziął łuczywo i bez słowa iść zaczął. Gdy się na strzał zbliżył, na ziemię położył się i czołgać się zaczął pod mur, w kierunku bramy, tak, jak mu kazano. Kule świstały ponad nim. Do bramy się zbliżył, łuczywo pod nią podsadził i rękę zanim wsunąwszy, zdusił żar gołą dłonią. Przelotny, nieokreślony uśmiech rozjaśnił na chwilę ponurą jego twarz, i znikł. Zawrócił.

— Zrobione? — spytał surowo komendant.

— Toć przecie — mruknął. Komendant raz jeszcze wzrokiem go zmierzył i odszedł. Czekali. Płomień nie wybuchał. Komendant groźnie do chłopa przyskoczył.

— Nie pali? — krzyknął.

— Chłop barczystymi ramionami wzruszył. — Musieli ugasić — rzekł obojętnie. Następnemu skolei łuczywo w garść wetknięto, rozkazując żagiew w wybite okno rzucić. Poszedł. Ręcę mu drżały, po twarzy pot spływał. Pod murem kamiennym stanął i we wnękę nogę włożywszy, wyżej się wspiął. Nagle w oknie ukazał się Władek prochem osmolony i krwią zbryzgany. Żagiew chłopu z dłoni wypadła, w oczach mu pociemniało, stracił równowagę i zwalił się pod mur, ciężarem swym gasząc łuczywo. Chwilę leżał nieruchomo, rozmyślając, co począć. Najlepiej będzie, jak umarlaka odwalę — pomyślał — i znieruchomiał. Udało mu się. Niemcy widać uwierzyli w jego śmierć, bo trzeciemu skolei żagiew podali. Ociągał się, zezem na niemca spojrzał, chrząknął, chciał coś widać powiedzieć, może słowo

protestu, ale zmilczał. Wziął żagiew i poszedł powoli kołysząc się na pałąkowatych nogach i raz w raz, oglądając się za siebie. Przez chwilę popędziły go straszliwe przekleństwa, ale na krótko. Znowu zwolnił. Gdy już trzeba było się czołgać, położył się i wolniutko, jak żółw, pełznąć zaczął, przystając co chwila i oglądając się bez końca. Wśród niemców wzmagały się przekleństwa. Nie darują mu tego, niech tylko wróci. Wreszcie podkomendant nie wytrzymał. Ruszył jego śladem z rewolwerem w ręku. — Ja was dopilnuję, polskie świnie, — szwargotał sam do siebie, czołgając się za chłopem. Ten znów obejrzał się. W tej chwili grożąca ręka niemiecka opadła bezwładnie. Podniesiona przed sekundą głowa, nosem o ziemię uderzyła i tak już został. Chłop gapił się na niego, aż podziw go brał, że duch tak prędko może ulecieć z ciała. W tej chwili oślepiający blask poraził oczy patrzących. To stawał do akcji oddział wojska, przybyły w tej chwili z Płocka. Rzucono kilka rakiet jednocześnie. Słup ognia wystrzelił na słomianym dachu stodoły. Ogień szerzył się z gwałtownością. Przeniósł się na oborę, chlew, na dach chałupy wpełznął. Mimo to strzały z zagrody nie ustawały. Dym wyżerał oczy staremu Borowskiemu, wgryzał się w płuca, dusił. Żar, bijący z płonącego dachu, palił do żywego. A gdy już krokwie nad jego głową trzeszczeć zaczęły, grożąc zawaleniem, chwycił stary skrzynkę z nabojami i do obory się przeniósł. W otwór w ścianie dubeltówkę wetknął i strzelał naoślep już, bez pamięci, nic nie rozumiejąc. Władze starego umysłu skupiły się na dwóch tylko przedmiotach: naboje i dubeltówka. Reszta dla niego już nie istniała. I nagle suchy trzask zmieszał się z hukiem broni. Płonące belki przywaliły starego żołnierza. Ogień obejmował ubranie, włosy, twarz, piekielnym bólem szarpiąc ciało. Żył jeszcze. Mózg pracował przyćmiony ogromem męki. — Strzelać, strzelać — biegają resztki tłukących się po głowie myśli — do nich... do niemców... Władek... Franek... żona... nie przyszła pomoc, ale przyjdzie... cała wieś powstanie... niedługo... nasi już blisko stoją... sztandar nad głowami im łopocze. Biały ptak na nim do lotu się zrywa... on zna ten sztandar... żołnierzem przecie był! ...Brak tchu... ktoś ciężar zarzewia z piersi mu zrzucić próbuje, ktoś głowę podnosi, cichy żoniny jęk boleści do resztek jego świadomości dociera.

* * *

Tamci jeszcze strzelali. Biegali wśród rozszalałych płomieni i dymu, wskakiwali na parapety okien, na mur. Aż płomień ogarnął wszystko, rozpanoszył się. Spotkali się twarzą w twarz na podwórzu, gdy biegli z przeciwnych końców zagrody. Straszni byli. Okrwawieni, osmaleni, do widziadeł podobni. W tejże chwili ujrzeli matkę, wychodzącą z walącej się obory. Suknie

na niej opalone, twarz poparzona na rękach rany. Chwiejnym krokiem podeszła do synów, znać opuszczały ją siły.

— Tam ...ojciec ...nie żyje... — wyszeptała, zachwiała się i na ręce synów opadła. — Synki moje — szepnęła, gasnącym wzrokiem objęła ich twarze i skonała.

Rozszalały żywioł nad głowami im huczał i do stóp pełznąć zaczynał. — Czas na nas! — Nagle twarz Franka tryumfem zajaśniała.

— Wytrwaliśmy. Na polskiej ziemi do końca wytrwaliśmy. Rewolwer sobie do skroni przyłożył. Franek już nie żył, kiedy Władek, z piersią krwią buchającą, cisnął twarz do szarego prochu ziemi ojczystej, a mdlejące usta ostatnie wyznania szeptały: — Dla Ciebie, Ziemio... dla Ciebie!...

* * *

Ogień powoli dogasał. Już nie strzelał płomieniem, nie szalał. Przycichał, do ziemi opadał. Wreszcie i te ostatnie jego błyski zamarły, tylko dymy kołowały się błędnie nad miejscem, gdzie niedawno jeszcze stała zagroda Borowskich.

Wtedy dopiero rzucili się „zwycięzcy" do zgliszcz. Szukali, węszyli, osmalone trupy rewidowali, rozgrzebywali popioły. W stodole odkryli wejście do lochu. Zawahali się. Radzili, szwargotali, aż wreszcie Polakom wejść tam kazali, zobaczyć, czy kogo nie ma.

— Nie ma nikogo.

Nabito rewolwery, kazano Polakom wejść naprzód do lochu i dwóch najśmielszych SS-ców ruszyło za nimi.

Istotnie nikogo nie było. Opukano ściany, wyjęto deski, znaleziono nowe przejście. Wiodło daleko, na ogród za płotem. Zdziwili się SS-cy. Mogliby przecież uciec — zauważył pierwszy. Mogliby — przytaknął z wielkim podziwem drugi. — Głupcy, nie mogli pojąć, że są takie miejsca, takie posterunki na których się trwa do końca życia. Jest miłość Ojczyzny, co rozkazodawcą w takich chwilach się staje, jest serce bohatera, które słuchać tego Wodza każe.

* * *

W piękny poranek ziemia pachniała wiosną. Promienie słońca sypały złoto na ziemię i na oracza, co smutny orał skibę po skibie. Pług co chwilę zawadzał o coś. Wieśniak wstrzymywał konia, usuwał z pod pługa kawał zwęglonej żerdzi, lub jaki osmolony przedmiot. I szedł dalej za pługiem, krokiem jeszcze cięższym, jak za pogrzebem. W jednym miejscu, gdzie ślady świeżego skopania widniały, przystanął, rozejrzał się bacznie, potem na ziemi kląknąwszy, z nabożną czcią ziemię pocałował. Spijto, niech wos Bóg i Najświętsza Panna do nieba zaprowadzi, wyszeptał, potem wstał i dalej orał powoli.

KONIEC